

Fragment darmowy udostępniony przez Wydawnictwo
w celach promocyjnych.

EGZEMPLARZ NIE DO SPRZEDAŻY!

Wszelkie prawa należą do:
Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.
Warszawa 2019

www.zielonasowa.pl

The
Agathas

The Agathas

KATHLEEN GLASGOW
& LIZ LAWSON

PRZEKŁAD:
WIESŁAW MARCYSIAK



Tytuł oryginału: *The Agathas*
Przekład: Wiesław Marcysiak
Redaktor prowadząca: Agata Tondera
Redakcja: Elżbieta Wołoszyńska-Wisniewska
Korekta: Anna Surendra, Sylwia Chojecka
Opracowanie okładki: Agata Chmielewska, Małgorzata Ćwieluch
Skład: Małgorzata Ćwieluch

First published in Penguin Random House LLC
Text copyright © 2022 by Kathleen Glasgow and Elizabeth Lawson
Jacket art copyright © 2022 by Spiros Halaris
Map art copyright © 2022 by Mike Hall
© Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.,
Warszawa 2023

All rights reserved

Wydanie I

ISBN 978-83-8240-752-5

Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.
00-807 Warszawa, Al. Jerozolimskie 94
tel. 22 379 85 50, fax 22 379 85 51
wydawnictwo@books4ya.pl
www.books4ya.pl

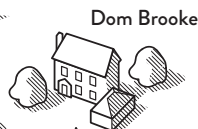
Dedukujemy najlepszym przyjaciółom,
nastoletnim detektywom z całego świata!



Dom Gerbera



Dom Kennedy



Dom Brooke



Dom Alice



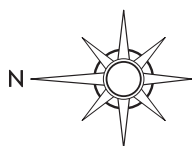
Dom Park



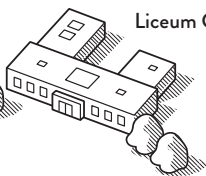
Zamek

CASTLE COVE

↑
Stajnia
na Zielonym Wzgórzu



Liceum Castle Cove



Więzienie →



Posterunek
policji

Pączkarnia
Dotty



Moon Landing



Skate Park



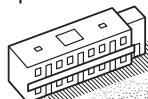
Yacht Club



Dom Spike'a



Dom Iris



Punkt
widokowy

Miejsce znalezienia
Brooke

O C E A N

AGATHA CHRISTIE,
właśc. Agatha Mary Clarissa Christie,
Lady Mallowan, DBE, z domu Miller;
ur. 15 września 1890 – zm. 12 stycznia 1976.

Brytyjska pisarka, napisała
sześćdziesiąt sześć powieści
i czternaście opowiadań detektywistycznych.

Zasłynęła jako autorka bestsellerów
wszech czasów.

Było z niej także niezłe ziółko.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

ALICE OGILVIE

31 PAŹDZIERNIKA

7:50

Te blondynki, proszę pana, one sprowadzają
niemało kłopotów.

AGATHA CHRISTIE, *DWANAŚCIE PRAC HERKULESA*,

TŁUM. GRAŻYNA JESIONEK

ALICE OGILVIE ZWARIOWAŁA!

Wyrazy na mojej szkolnej szafce są wielkie, napisane czarnym markerem. Nie można ich przeoczyć. Gdy podchodzę, widzę je już z końca korytarza. Pierwszy dzień w szkole po powrocie z aresztu domowego, a wita mnie coś takiego. Dlaczego mnie to nie dziwi?

Rebecca Kennedy parska śmiechem na drugim końcu holu, gdzie stoi razem z Helen Park i Brooke Donovan. Gapię się. Moje dawne przyjaciółki. Moje dawne *najlepsze* przyjaciółki.

Ciekawa jestem, czy któraś z nich to napisała. Nie Brooke; nigdy by nie zrobiła czegoś takiego, ale nie zdziwiłabym się, gdyby zrobiła to Kennedy. Właśnie tak by postąpiła. Gdzieś w środku rodzi się ból, ale myślę sobie: co by teraz zrobiła Agatha Christie? Czy pozwoliłaby im dobrać się do

siebie? Wybiegłaby ze szkoły? Czy tak właśnie postąpiła, kiedy zdradził ją jej pierwszy mąż? Do diabła, nie. Podniosła się dumnie i została międzynarodową autorką bestsellerów.

Odwracam się i mierzę wzrokiem całą trójkę. Uśmiezek Kennedy słabnie.

– Macie jakiś problem? – mówię swoim najlepszym, znudzonym głosem. Nie chcę tylko, aby zauważyły, że mi zależy.

Park, oczywiście, opiera się plecami o szafki, udając, że nie jest w to zamieszana, i pozwala, by jej proste, lśniące, czarne włosy zasłoniły jej twarz. Nie potrafi znieść konfrontacji. Kennedy przewraca oczami. A Brooke... cóż, jej pomalowane na czerwono usta drżą, jakbym *to ja* zrobiła tutaj coś złego.

– Alice – mówi cicho, jakby zaraz miała przejść do rzeczy, w które wołałabym się nigdy nie zagłębiać.

Zmuszam się, aby spojrzeć jej w oczy, i dopiero wtedy zauważam, w co jest ubrana. Rozglądam się po innych na korytarzu i niestety tak – wszyscy są w przebraniach. Tylko nie ja.

Przebranie. Bo dzisiaj jest Halloween. Świetnie. Mój powrót do życia towarzyskiego w Liceum Castle Cove już stał się masakra.

Brooke, Kennedy i Park włożyły stroje cholernych cheerleaderek. Jak oryginalnie. Cała trójka ma na sobie krótkie, niebiesko-białe, plisowane spódniczki, ich włosy są perfekcyjnie zakręcone. Dziewczyny są całe poplamione krwią, z wyjątkiem twarzy. Nie chciały za bardzo angażować się w przygotowanie przebrania i popsuć sobie makijażu.

Natomiast ja wyglądam głupio. Jestem jedyną osobą na tym korytarzu – może w całej szkole – która nie jest ubrana w kostium.

Jakbym potrzebowała kolejnego upomnienia, że już tu nie pasuję, wszechświat najwyraźniej postanowił ten fakt zaznaczyć. Usuwam z twarzy emocje, odrzucam włosy przez ramię i otwieram drzwi szafki. Wiem, że wszyscy patrzą. Czekają, żeby zobaczyć, co zrobię. Czy zareaguję.

Ale nie zrobię tego.

Bo mnie to nie obchodzi.

Staram się nie zasnąć na trzeciej lekcji matematyki, kiedy drzwi do klasy otwierają się i jakiś pierwszak o zarumienionej twarzy wsuwa głowę do środka, a wszyscy jednocześnie obracają się w jego kierunku.

– Hm – mówi łamiącym się głosem. – Hm, przepraszam. Mam list. – Podbiega do pani Hollister i podaje jej kartkę, ale zanim nauczycielka zdąży ją wziąć, papier wyslizguje się chłopcu pomiędzy palców i opada. Dzieciak rumieni się jeszcze mocniej, gdy próbuje go złapać, zanim spadnie na linoleum. – Przepraszam, przepraszam. Proszę – mruczy i wypycha go w rękę pani Hollister, po czym wybiega z sali. Co za cyrk. Przynajmniej nauczycielka przestała głądzić o rachunku różniczkowym.

Hollister otwiera notatkę, czyta ją, a potem jej wzrok pada prosto na mnie.

– Alice – mówi nosowym głosem, dotykając zaskakująco drogiego naszyjnika na szyi. Plecy mi sztywnieją. Trzy godziny

w szkole i już mam kłopoty? Dobry Boże, ledwo zdążyłam się wysikać. – Jesteś wezwana do gabinetu pani Westmacott.

Żołądek mi się przewraca. Nie mam kłopotów. Jest dużo, dużo gorzej.

Zostałam wezwana do gabinetu szkolnej pedagog.

Pukam cicho do drzwi, mając nadzieję, że może pani Westmacott tam nie będzie. Ale prawie natychmiast słyszę nadgorliwe:

– Tak?

Nigdy wcześniej nie miałam przyjemności przebywania w gabinecie pani Westmacott, ale słyszałam plotki. Kiedy otwieram drzwi, widzę, że ludzie mówili prawdę. Ona naprawdę ma swoje imię wypisane gigantycznymi, złotymi, błyszczącymi literami na ścianie za biurkiem. Rzeczywiście jest tam też tablica ogłoszeń zatytułowana: *Tablica uczuć*. I ten kąt, o którym wszyscy mówią. Ten z poduchami, gdzie może odbywać „jam sessions” z uczniami.

Trudno uwierzyć, ale to też jest prawdziwe.

Nic dziwnego, że Brooke nie chciała, żeby jej tata ożenił się z tą kobietą.

– Cześć! – woła. – Wejdz! – Macha do mnie, a ja podporządkowuję się głównie dlatego, że nie mam wyboru. – Usiądziemy tam? – Wskazuje na pufy.

Hm... nie.

– Mam... chore kolana – kłamię. Nie ma mowy, żebym usiadła na pufie. – Może na krześle. – Siadam, zanim zdąży zaprotestować.

Po chwili wahania wsuwa się na krzesło, składa ręce na biurku i się pochyla.

– Cieszymy się, że wróciłaś, Alice. – Ma na sobie tunikę z mnóstwem dziwnych kształtów naklejonych wokół dekoltu, a kasztanowe włosy spięła z tyłu za pomocą opaski. Uwaga, wcale nie fajnej opaski, ale jednej z tych grubych, które widziałam na zdjęciach ludzi z lat dziewięćdziesiątych. – Wiemy, że sprawy miały się... kiepsko w ciągu ostatnich kilku miesięcy. – Pedagog robi współczującą minę, a mnie skręca się żołądek. Wiem, na co się zapowiada. – My wszyscy uznaliśmy, że najlepiej będzie, jak obie znajdziemy trochę czasu na pogawędkę. – Unosi brwi, jakby pytała, ale wiem, że to nie pytanie. Wiem, że nie mam wyboru. – Możemy po prostu pogadać, porozmawiać o tym, jak się sprawy mają. W jaki sposób jesteś traktowana w szkole. O takich tematach! – Westmacott się uśmiecha.

– Uhm. – Tylko tyle przychodzi mi do głowy w odpowiedzi.

Ignorując mój brak entuzjazmu, kontynuuje:

– Na początek porozmawiajmy o Brooke i Stevie. Chodzą ze sobą. Jak sobie z tym radzisz? Najwyraźniej nie było ci z tym łatwo...

Jezu, ona naprawdę chce o tym mówić? Jest pierwszą osobą, która bezpośrednio wspomniała przy mnie tych dwoje, odkąd to wszystko się wydarzyło. Brooke, odkąd pamiętam, była moją najlepszą przyjaciółką, więc zawsze wiedziałam, że żaden z niej idealny anioł, którego przede mną odgrywała (dwa słowa: Cole Fielding). Kiedyś to doceniałam; potrzeba trochę pieprzu, aby wszystko było

interesujące. Ale nigdy się nie spodziewałam, że skradnie mi chłopaka sprzed nosa.

Steve i ja zaczęliśmy się spotykać, kiedy byłam w drugiej klasie, a on w pierwszej i właśnie został gwiazdą szkolnej drużyny koszykówki. Wcześniej zawsze był w tle, spędzając sporo czasu na obozach treningowych. Jego mama pracowała na dwa etaty, żeby go było na nie stać. Ale chyba się opłaciło, bo pewnego dnia usłyszałam, jak dziewczyny rozmawiają o nim w łazience, o tym, że jakiś przypadkowy uczeń, o którym nikt nigdy nie słyszał, przewodzi drużynie, a ja wiedziałam, że muszę go mieć. Zaczęliśmy się spotykać kilka tygodni później. Dzięki mnie stał się popularny. Dałam mu życie towarzyskie. Dostęp do mojego świata. A co on dał mi w zamian? Rzucił mnie.

W czerwcu, po tym, jak powiedział mi, że chce zerwać, ponieważ jestem zbyt szorstka, pojechałam z mamą do Egiptu, żeby odwiedzić plan filmu, nad którym pracowała. Mój tata wyjechał z miasta w interesach, jak to zwykle robi przez dziewięćdziesiąt dziewięć procent czasu, a Brendzie miał się urodzić pierwszy wnuk, więc z tej okazji pojechała do San Diego. Zatem miałam do wyboru pojechać z mamą albo snuć się po kątach w domu, sama. Pomyślałam, że może to będzie dobra rozrywka, może Steve zatęskni za mną, a kiedy mnie nie będzie, może wymyślę, jak naprawić nasze sprawy. Poza tym, jeśli mam być całkowicie szczerą, co zwykle trudno mi przychodzi w kwestii uczuć, pomyślałam, że może moja mama i ja będziemy się dobrze razem bawić.

Cóż, nikt się specjalnie nie dziwił tym, że podczas kolejnej podróży mama pracowała przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, a ja siedziałam sama w pokoju hotelowym. Dzięki Bogu za *room service* i powieści Agathy Christie, które znalazłam w salonie.

Powiedzmy, że moja mama i ja nie nawiązałyśmy więzi, ale Brooke i Steve z pewnością to zrobili.

Drżę na wspomnienie o tym, jak Brooke pojawiła się w moim domu ze łzami w oczach, aby poinformować mnie, że nigdy nie chciała, żeby do tego doszło – ona nigdy nie zamierzała *zakochać się w Stevie*. Kiedy Steve i ja chodziliśmy ze sobą, on i Brooke zawsze się dogadywali – a ja byłam na tyle głupia, by myśleć, że to dobrze – najwyraźniej tak nie było.

– Ale czy to konieczne? – Głos mi drży. Zaciskam usta. Opanuj się, Ogilvie.

Spojrzenie Westmacott łagodnieje.

– Nie, oczywiście. Może zaczniemy od nauczania domowego? Powiedz mi, jak sobie radziłaś przez ostatnie kilka miesięcy z nauką w domu, kiedy byłaś na... hm...

– W areszcie domowym? – kończę za nią.

– Hm, tak.

– Było dobrze. – Mocno zaplatam ręce na piersi.

– Wyobrażam sobie, że mogłaś czuć się trochę samotna.

– Było dobrze – powtarzam. Boże, dlaczego ona tak bardzo na to naciska? – Rodzice kupili mi konia – dodają tylko po to, żeby uciszyć ją jeszcze na kilka sekund. – Na urodziny, kilka miesięcy temu. Tuż przed... – Urywam.

Jej oczy się rozjaśniają.

– Konia! To fantastycznie! Jakiej rasy?

To wcale nie jest fantastyczne. Tak właśnie postępują moi rodzice: kupują mi coś – coś, czego nie mogę znieść – ponieważ jest drogie. Wzruszam ramionami.

– Hm, brązowej?

– Czy trzymasz go w Stajni na Zielonym Wzgórzu?

Przytakuję. Co za głupia nazwa miejsca dla tych potwornych stworzeń. Chociaż najwyraźniej moi rodzice nie wiedzą, że nienawidzę koni od wakacji po czwartej klasie, kiedy mama zdecydowała, że córka, która jeździ konno, będzie dobra dla jej wizerunku, i zapisała mnie na obóz jeździecki. Pogodziłam się z tym, bo przynajmniej chwilowo mama pamiętała, że istnieję. To nie było takie straszne... dopóki takie się nie stało.

Kiedy ostatniego dnia obozu prezentowaliśmy nasze konie, Marinda Kelly spadła ze swojego, łamiąc biodro i obie nogi. Tak więc, mówiąc o traumie... Przyjechała karetka pogotowia. Po tym całym bałaganie przysięgałam, że nigdy więcej nie zbliżę się do konia bardziej niż na dziesięć metrów. Tej przysięgi moi rodzice najwyraźniej nie pamiętali.

– Kocham to miejsce! Trzymam tam mojego Olivera! – mówi Westmacott, jakbyśmy miały nawiązać bliższe stosunki za sprawą wspólnej miłości do koni.

Oczywiście, ona jest koniarą. Z całą pewnością.

– Świetnie. – Co to za imię dla konia... Oliver? Nie zdradzam moich myśli. Jeszcze by mnie zawiesiła pierwszego dnia po powrocie do szkoły. Przyklejam uśmiech.

Opowiada o swoich ulubionych koniach, harmonogramie jazdy, ale przynajmniej przestała zadawać mi pytania.

W końcu rozlega się dzwonek oznaczający koniec lekcji i moją szansę na ucieczkę. Wstaję, ale ona mnie powstrzymuje.

– Poczekaj, poczekaj – mówi, uderzając się dłonią w czoło. – Zapomniałam, dlaczego cię tu w ogóle wezwałam! Ponieważ przepadło ci kilka pierwszych miesięcy szkoły, znaleźliśmy dla ciebie korepetytora. – Przerywa. – Hm, twoi rodzice to zorganizowali. Ja tylko pośredniczę.

Korepetytora?

– Daję sobie radę – protestuję. – Nie potrzebuję...

– Alice. – Westmacott unosi brew pod grubą oprawką okularów. – Twoje domowe wysiłki były... powiedzmy, niewystarczające. Jedyne przedmiot, w którym się bronisz, to francuski. Potraktuj to nie tyle jako sugestię, co wymóg. – Jej uśmiech znika, a nazbyt wesoły głos staje się twardy. Czuję ciarki na plecach. – Dobrze?

Mrugam oczami i kiwam głową.

– Świetnie! – Pedagog klaszcze w dłonie, a jej głos wraca do przesadnie entuzjastycznego tonu, jakby zupełnie na mnie nie warczała. – Przypisaliśmy cię do Iris Adams.

– Do kogo?

– Iris Adams. Nie znasz jej?

Wzruszam ramionami. Dużo osób tu chodzi. Jak mogę znać wszystkie po nazwisku?

Westmacott unosi brwi.

– Chodźcie razem do szkoły od przedszkola. – Jakby to miało ożywić moją pamięć.

Kręcę głowę.

Westmacott spogląda na kartkę w dłoni.

– Cóż, tu są wszystkie informacje. Przyjdzie dziś do twojego domu po szkole. Wszyscy zgodziliśmy się tak to ustawić, ponieważ...

– Świetnie. – Przerrywam jej i zabieram kartkę z ręki. –
Dziękuję.

Widzę chwilową irytację na jej twarzy, zanim znów się uśmiechnie.

– Dobrze. Idealnie. Och, Alice?

– Tak?

– Kiedy życie daje ci cytryny, możesz zrobić lemoniadę!
Pokazuję jej kciuk skierowany ku górze.

Nie mogę się doczekać.

ROZDZIAŁ DRUGI

IRIS ADAMS

31 PAŹDZIERNIKA

11:45

Bycie niewidzialnym zapewnia wiele korzyści.

Nie mam na myśli faktycznego zniknięcia, zamiany w mglistą postać jak w filmach. Myślę o byciu osobą, której ludzie tak naprawdę nie widzą, ponieważ typ, którym jesteś (rodzaj osoby, za którą cię uważają), ich nie interesuje. Ponieważ ludzie cię nie widzą, masz wolną rękę, aby podsłuchiwać rozmowy, obserwować zachowania i uczyć się wzorców. Wszystkie te rzeczy są niezbędne do przetrwania, szczególnie w liceum.

Na przykład udało mi się zmienić zachowanie Kennedy – która ma na imię Rebecca, ale wszyscy uczniowie w Liceum Castle Cove zwracają się do siebie po nazwiskach, co moim zdaniem jest dziwnym i obrzydliwym nawykiem, sprawiającym, że wyglądają jak maklerzy giełdowi podczas mocno alkoholowej imprezy – tak, że przestała być tylko wredną dziewczyną siedzącą ze mną na rozszerzonej biologii. Wystarczyło podrzucić informacje, które podsłuchiwałam podczas przebiegania się na WF.

Kennedy nie jest zadowolona, że musi ze mną siedzieć w laboratorium, chociaż to ja podciągam jej średnią ocen

z tego przedmiotu. Za każdym razem podczas zajęć patrzy na mnie i wzdycha, kręcąc szyję, jakbym przecięła jej tętnicę, a potem mówi:

– Znowu flanela?

Gdybym chciała, aby krytykowano moje ubranie, siadałabym podczas lunchu z Fastrygantkami. Szyję sobie ubrania, co jest godne podziwu, ale przez to ich rozmowy są nudne. I proszę, ze wszystkich ludzi to Kennedy nie powinna krytykować moich ubrań, bo dzisiaj sama ubrała się jak martwa cheerleaderka. Jest Halloween, ale mimo wszystko.

Zwykle spływa to po mnie. Potrafię całkiem nieźle wyciszać ludzi, ale dzisiaj to nie był ten dzień, bo cały czas byłam konfrontowana z bolesnym powrotem Alice Ogilvie i tym, co to miało znaczyć dla mnie.

Przepraszam, Ogilvie, jak nazywa ją jej klan.

Kennedy próbowała powiedzieć coś o moich włosach, ale przerwałam jej zdecydowanie podczas rozcinania brzucha naszej żaby. Wtedy Kennedy pobladła.

– O – powiedziałam. – Tak mi przykro z powodu Cole'a. To musiał być cios.

Powachlowała sobie twarz.

– Kennedy. A o czym ty mówisz?

Przywołałam na twarz idealnie współczującą minę: usta lekko ściągnięte, schowany podbródek, głowa przechylona na bok.

– Och, nie, przepraszam, myślałam, że wiesz.

– Co, do cholery – powiedziała. – O czym ty mówisz, Adams?

– Iris – przypomniałam jej stanowczo. Ostrożnie rozciągnęłam skórę żaby, żeby mogła dobrze przyjrzeć się jej lśniącemu, gąbczastemu wnętrzu. Wnętrze tak bardzo różni się od widoku z zewnątrz. Większość ludzi nie chce się tego dowiedzieć. – Idzie z Madison... to znaczy z Fletcher na bal po regatach. Czy to nie ty miałaś iść?

Zupełnie jak z małymi dziećmi. Musisz odwrócić ich uwagę od tego, co robią, od tego, czego nie chcesz, aby robiły. Poczęstuj je czekoladką, podsuń kolorową grę na telefonie i proszę: kryzys zażegnany. Wiedziałam, że wspomnienie o tym Kennedy przyjmie z trudnością; wszystkie dzieciaki uwielbiają coroczny bal po regatach w Yacht Clubie. To pora, aby kupić nieprzyzwoicie drogie suknie, które kosztują tyle, że mogliby zapłacić chesne za cały rok, i udawać, że są jakąś lokalną rodziną królewską popijającą wódkę z butelki.

Podalam Kennedy skalpel i usiadłam.

Naprawdę miło było patrzeć, jak Kennedy zabiera się za tę biedną żabę. Dobrze, że żaba była już martwa.

W porze lunchu zajmuję swoje zwykłe miejsce na tyłach stołówki ze Spikiem i resztą Zonerów. To jest strefa nam przydzielona – układ społeczny stołówki w Castle Cove jest ściśle przestrzegany. Zonerzy z tyłu, przy ostatnich stólkach. Punki po prawej, przy wyjściu, na wypadek gdyby atletyczna Większość zdecydowała się na rozróbę z nimi; muszą szybko wyjść. Na lewo od nas są Fastrygantki, wtulone w ciuchy z konopi, z niestaranymi kokami upiętymi

staromodnymi szpilkami. Front stołówki zajmują Predysponowani, wyjęte iPady i zamazane okulary. Obok nich zespół taneczny, prawie pośrodku, lśniący i radosny.

Atletyczna Większość wrzeszczy i przeklina, wystrojona w koszulki drużyny, rozsuwają puste stoły, każdy z dwiema tacami jedzenia. A w środku, w samym środku, bo reszta nas obraca się wokół ich blasku, znajduje się Większość. Błyszcząca, zdrowa, z pieniędzmi, otwarcie cieszy się łatwym życiem. Środek to dla nich najlepsze miejsce; w ten sposób, cokolwiek robią, mają nas, chętną (lub nie) publiczność.

Zonerzy to moi przyjaciele w Castle Cove. Trzymamy się razem przez całe nasze życie, głównie z konieczności, bo tak chciał los. Bo, uważajcie na to: jesteśmy *biedni*.

Moja mama pracuje w barze. Byłoby inaczej, gdyby była właścicielką baru, a zwłaszcza gdyby był fajny, ale nie jest. W Moon Landing mama rozlewa drinki, ociera lzy i suszy wilgotne i zmięte banknoty przed wentylatorem, bo te pieniądze są nam potrzebne. W Castle Cove należysz do obsługiwanych albo obsługujesz. Tata Spike'a jest jednym z dozorców w Liceum Castle Cove. Chcesz, aby twój dom nad morzem podobny do pałacu lśnił i błyszczał? Dzięki temu rodzice pięciorga Zonerów opłacają czynsz.

Mam na myśli, że niektórzy z nas cienko przędą, a innym powodzi się dobrze, ale w porównaniu do wszystkich pozostałych w tym przytulnym nadmorskim miasteczku i w szkole jesteśmy na dnie.

Spike i reszta Zonerów są głęboko pochłonięci rozmową o tym, kto będzie następnym Mistrzem Lochu. Wyciągam

kanapkę. Na końcu stołu Cole Fielding drzemie z potarganymi blond włosami i głową wtuloną w ramiona. Nawet kiedy śpi, jest niewyobrażalnie atrakcyjny.

Zora przyłapuje mnie, gdy mu się przyglądam, i chichocze.

– Lubisz facetów w skórze, Iris? – pyta.

Cole Fielding nie należy do żadnej grupy. Chyba że liczyć niektóre dziewczyny z Większości. Podają go sobie jak cukierek. Wszyscy wiedzą, że ma szczególne talenty.

– Ha – mówię. – Ale nie, dziękuję.

Nie żebym o tym nie myślała. Zwłaszcza gdy jestem w Skate Parku, a on wręcza mi moje rolki przez ladę i mówi tym swoim rozleniwionym głosem: „Hej, Iris”, uśmiechając się. Ten sposób, w jaki wypowiada „Iris”. Eeeeyyee-rissss. Jakby to słowo dobrze pasowało mu w ustach.

Kręcę głową. Ściśle przestrzegam zasady „trzymać się tylko z samą sobą”, ponieważ nauczyłam się, że romans równa się tragedii. Ale nie zaszkodzi trochę pofantazjować, choć łatwiej byłoby zignorować Cole’a, gdyby był palantem.

Robi się poruszenie, gdy wszyscy odwracają głowy ku frontowi stołówki.

Wiecie, jak to dzieje się w filmach, kiedy nagle wszystko i wszyscy cichną?

Tak właśnie się stało.

Nawet Zonerzy podnoszą wzrok.

Pojawiła się najsłynniejsza z całej Większości.

Alice Ogilvie, znikająca dziewczyna z Castle Cove.

Tak, wiem, rozumiem. Nie można po prostu... zniknąć. To znaczy można i wiele dziewczyn znika, ale zwykle w mroczny

i okropny sposób, przeważnie za sprawą niezrównoważonych mężczyzn.

Niewiele tak po prostu znika... puff.

A potem... wraca.

Nie znam całej historii, tylko fragmenty, które moim zdaniem mają związek ze złamanym sercem i nieistotną zazdrością, ale wiem, że miasto Castle Cove poświęciło bardzo dużo czasu i pieniędzy, próbując odnaleźć Alice, a jej przyjaciele, zwracający się do siebie po nazwisku, nawet zorganizowali dla niej czuwanie ze świecami, a mogli w tym czasie bawić się na TikToku lub robić cokolwiek innego. A teraz są wkurzeni.

Alice Ogilvie znieruchomiała z przodu stołówki.

Normalnie skręciłaby w prawo i usiadła z Henderson, Kennedy, Park i Donovan, ale one jakby zbiły się ciasno, tworząc skorupę żółwia, i nie chciały na nią spojrzeć.

Można by pomyśleć, że Alice uniesie wysoko głowę i usiądzie gdziekolwiek, ale nie. Ona po prostu tam stoi. Jej usta drżą.

– Jejku – szepcze Spike. – Ale to jakby smutne.

Przez chwilę żal mi Alice Ogilvie.

Ta bolesna świadomość, że nikt cię nie chce.

Przy stole Dziewczyń Większości słyszać szelest. Brooke Donovan, w zasadzie ludzki odpowiednik waty cukrowej, wstaje i macha do Alice. Kennedy pociąga ją z powrotem.

Jednak Alice Ogilvie, której wcześniej usta drżały przez chwilę, patrzy Donovan prosto w twarz i powoli wyprostowuje środkowy palec, a potem odwraca się i wychodzi ze stołówki.

Nagle, choć krótko, czuję podziw dla Alice Ogilvie. Samą mnie to zaskakuje.

Po prostu kazała się odwalić.

Po szkole czas na spotkanie z Westmacott. Z jej gabinetu wielu uczniów drzwi, ale nie ja.

Nie przeszkadza mi jej błyszczący strój, pufy i inspirujące plakaty przypięte do ścian. Czego się spodziewać po pedagogu? Thanosa? Dajcie spokój.

Poza tym ma przekąski. Batoniki z granoli, żelki owocowe, cheetosy, chrupki z jarmużu, co chcesz. Powiedziała mi kiedyś, że to dlatego, że dużo dziewczyn nie chce, aby widziano je przy jedzeniu (to kolejny problem, w który nie musimy się zagłębiać), a ona wie, że kiedy przychodzą do niej, to umierają z głodu. Jeśli zamknie drzwi, będę jeść.

Kiedy wchodzę, rzuca mi paczkę żelków truskawkowych, które od razu rozrywam, bo nie jestem idiotką (darmowe żarcie), a poza tym mam długą przejażdżkę rowerem do domu Alice Ogilvie.

Pani Westmacott przesuwą po biurku teczkę z aktami.

– Proszę. Masz szczęście.

Wpatruję się chciwie w niebieską teczkę. To nie jest zwykła niebieskateczka. To niebieskateczka o wartości trzech tysięcy dolarów. Trzy tysiące dolarów, dzięki którym będę wraz z mamą mogła wydostać się z Castle Cove i na dobre uciec od Tej Rzeczy.

Biorę się w karby. Nie zamierzam myśleć teraz o Tej Rzeczy. Teraz mam misję.

– Nie sądzę, że jej pierwszy dzień po powrocie był dobry – mówię, wsuwając teczkę do plecaka. – Paczka ją chłodno przyjęła.

Pani Westmacott kiwa głową.

– Alice sama nawarzyła sobie piwa. Teraz musi sama je wypić. Działania mają konsekwencje.

Jej wzrok wędruje do pudełka w kącie biura. Sterczą z niego zbyt duże trampki, kilka DVD z *Zagubionymi*, niepokojąco ogromna kolekcja pamiątek po Michaelu Jordanie.

Odwraca wzrok z powrotem na mnie, po czym spogląda na swoje biurko. O-o. Chyba moja pani pedagog zaraz się rozplacze. Wszyscy wiemy, że była z Trenerem Donovanem przez cały ostatni rok. Jak moglibyśmy nie wiedzieć? Podczas apeli zawsze stała trochę za blisko jego boku, a podczas meczów była absolutnie najgłośniejszą osobą na trybunach.

Nie chcę być obcesowa, więc nie doradzam mojej doradczyni. Pospiesznie zapinam plecak i zarzucam go na ramiona.

Westmacott wyciąga chusteczkę z pudełka na biurku i wreszcie spogląda na mnie.

– Alergia mnie męczy, przepraszam.

– Hm, muszę iść – mówię niepewnie.

Jej mgliste spojrzenie trafia na moje.

– Jak się mają sprawy w domu? – pyta dosadnie.

Zaciskam dłonie na paskach plecaka. Ona szuka czulego miejsca, czeka, aż się odsłonię. Westmacott może być miła,

ale czasami trochę nachalna. Zbyt mocno naciska na informacje. Zawsze trzeba uważać.

W sierpniu doszło do... incydentu. Powinnam być bezpieczna i nikt nie powinien się dowiedzieć, ponieważ były jeszcze wakacje, ale natknęłam się na Westmacott w aptece, kiedy moja mama kupowała dla mnie leki przeciwbólowe. Najwyraźniej zupełnie nie tyknęła mojej wymówki, że upadłam w Skate Parku.

Pani Westmacott chciała narysować śmieszne buźki na moim gipsie, ale jej nie pozwoliłam.

Zmieniam temat.

– Więc muszę to robić tylko do końca tego kwartału, tak? I nawet jeśli nie dostanie szóstek, zapłacę mi? Nawet jeśli obleję, zapłacę?

– Tak jest. Jej rodzice się zgodzili. Jest bystrzejsza, niż myślisz. Mam wrażenie, że kluczem do Alice jest to, że po prostu potrzebuje kogoś, kto w nią uwierzy.

– Proszę pani – mówię. – Nie chcę być niegrzeczna, ale nie mogę być Zaklinaczką Alice. Udzielam korepetycji i to wszystko.

– Może zabierze cię na przejażdżkę konną, Iris. Może się zaprzyjaźnicie. Świat jest pełen niespodzianek. – Pani Westmacott się uśmiecha. – To nie byłaby najgorsza rzecz na świecie. Mieć przyjaciółkę.

– Och – mówię, odwracając się do wyjścia. – Byłaby, gdyby tą przyjaciółką miała być Alice Ogilvie.

Kiedy dochodzę do końca masywnego, brukowanego podjazdu przed domem Alice Ogilvie, burczy mi w brzuchu. Żałuję, że nie wzięłam więcej przekąsek od Westmacott.

Dom Alice góruje nade mną. Nie dziwię się, że to taki gigant – taka jest norma dla Castle Cove, gdzie ludzie mają w domach baseny i sale kinowe oraz własne kręgielnie. Same łodzie w Yacht Clubie przypominają pływające pałace. Jeśli coś nie jest duże i skandaliczne, nie jest to Castle Cove. Yacht Club przez ostatni rok przechodził remont; ponowne otwarcie nastąpi podczas corocznych regat. To ogromne wydarzenie dla miasta. Gdyby Steve nie rzucił Alice, to prawdopodobnie teraz szyto by dla niej suknię na ten bal.

Zapinam rower przed dwuskrzydłowymi drzwiami wejściowymi, gdy te otwierają się i wygląda z nich kobieta o życzliwej twarzy, ubrana w brązowy sweter i szare spodnie.

– Ty musisz być Iris – mówi z uśmiechem. – Wejdz. Alice jest na górze.

Nie mam zamiaru, ale w chwili gdy wchodzę do środka, jakby wstrzymuję oddech. Nigdy wcześniej nie byłam w takim domu, tylko widziałam je z zewnątrz. Wnętrze jest wielkości hangaru na samoloty. Sufit sięga co najmniej czterech i pół metra, a jedna cała ściana to same ogromne okna z widokiem na piękne, spokojne morze.

Też mieszkam z mamą nad oceanem, ale po obskurnej stronie, w centrum, w dwupokojowym mieszkaniu. Jest plaża, głównie kamienista, i piękne fale, ale nie mamy ściany okien, aby podziwiać morze. Jest jedno okno, z którego można

wyjrzeć, i długie, spróchniałe, drewniane schody, którymi schodzi się na plażę.

Przez chwilę pozwalam sobie na przelotne pragnienie, czego zwykle nie robię, bo to boli. Kocham moją matkę i nasze życie, ale czasami... chciałabym mieć okno z pięknym widokiem na morze. Chciałabym wyjść przed drzwi i móc poczuć piasek pod palcami, zamiast chodzić po ostrych kamieniach, które zalegają na naszej części plaży.

Niekiedy czuję, że całe moje życie toczy się po ostrych skałach, a ja chciałabym od czasu do czasu mieć miękki piasek.

– Ładnie, prawda? – mówi kobieta.

– Tak – odpowiadam, ponownie stając na baczność. – Absolutnie. Czy pani jest mamą Alice?

Mam nadzieję, że nie słyszy burczenia w moim brzuchu.

Kobieta się śmieje.

– Och, nie, nie. Jestem Brenda. Dbam o Alice.

– Alice ma siedemnaście lat – mówię.

Brenda się uśmiecha.

– Nawet Alice, mimo siedemnastu lat, potrzebuje nieco troski.

Wyciąga telefon, stuka w ekran i przykłada go do ucha. Słyszę dzwonek gdzieś daleko w domu.

– Twoja koleżanka jest tutaj – mówi Brenda do telefonu.

Gdzieś z głębi pierwszego piętra Alice Ogilvie krzyczy:

– KORKI!

Brenda wskazuje na kręte, białe schody.

– Pięte drzwi po prawej.

Nieczęsto czuję się mała, ale teraz, w domu Alice, czuję się mniej więcej jak tamta żaba podczas zajęć z biologii w laboratorium.

Wiesz, jak to jest, gdy idziesz do czyjegoś domu, a oni mają słodkie zdjęcia dzieciaków na ścianach? Z tortem urodzinowym rozsmarowanym na policzkach, bawiące się w piasku plastikowymi wiaderkami i łopatkami oraz na szkolnej fotografii bez jednego zęba?

Drogo oprawione i wyjątkowe fotografie Alice, które rzędem wiszą na schodach, to nie te. Nawet mała Alice, może trzy- lub czteroletnia, jest starannie ubrana w satynowe sukienki, ma idealnie ułożone włosy, siedzi na aksamitnych poduszkach. I nie ma zdjęć Alice z rodzicami. Tylko Alice, sama.

W rzeczywistości cały dom jest jakby niesamowity i pusty, a ja trochę żałuję, że musimy się tutaj spotkać, ale tu jest lepiej niż u mnie. Nie potrzebuję tam Alice Ogilvie.

Liczę drzwi na pierwszym piętrze. W sumie siedem. Pukam do piątych.

– Po prostu wejdź! – krzyczy Alice.

Otwieram drzwi. Alice leży rozłożona na ogromnym łóżku.

– Idioci – mruczy, rzucając telefon obok siebie. Przewraca się, patrząc na mnie. Pewnie zupełnie nie ma pojęcia, kim jestem, chociaż od podstawówki chodziłyśmy razem na co najmniej dwa przedmioty w roku. Zdjęła dziwny strój, który miała na sobie dzisiaj w szkole – jakąś krótką spódniczkę, ohydztwo bardziej odpowiednie na

premierę kinową niż matematykę – i teraz ma na sobie spodnie do jogi i T-shirt.

– Witaj w moim piekle – mówi cierpko. – Ile ci płacą moi starzy?

– Sama ich zapytaj – odpowiadam. – Zapłacą mi obojętnie, czy zdasz, czy nie, żebyś wiedziała.

– Hm, to dla ciebie łatwizna – wzdycha. – Siadaj, gdzie chcesz, żebyśmy zaczynały. Jestem trochę zajęta.

Alice leży na łóżku, idealnie nieruchomo. W rzeczywistości nie wygląda, jakby miała cokolwiek do roboty, teraz lub kiedykolwiek.

Podchodzę do kanapy przy jej łóżku, rozkopując na boki stos książek. Siadam i rozpinam plecak. Ona znowu wzdycha.

– No, już, pytaj śmiało.

– Słucham?

– Po prostu mnie zapytaj. Przecież chcesz. Każdy chce.

– Pytać o co? – Postanawiam udawać głupka. Oczywiście, że chcę wiedzieć wszystko o tym, gdzie była. Ale mam wrażenie, że Alice jest podobna do kota: kiedy ty chcesz się bawić, one nie chcą.

Wolę bawić się na własnych warunkach, zwłaszcza gdy mogą ci przeszkadzać.

– O tym, co się stało. O tym, gdzie byłam. Co robiłam. Wiesz, że chcesz, Irene.

Alice ma bardzo ładne, bladoniebieskie oczy i przepiękne, gęste i puszyste blond włosy. Taka fryzura oznacza cotygodniowe wizyty u stylisty, gdzie częstują wodą z cytryną, podają gorący kompres na twarz i Bóg wie, co jeszcze.

– Iris – mówię. – Mam na imię Iris.

– Obojętne.

– Właściwie to nieobojętne, tak mam na imię. Czy chciałabyś, abym mówiła do ciebie Abigail?

Uśmiecha się.

– Trafiony. Pytaj mnie.

– To nie moja sprawa – mówię jej.

Naprawdę, ale umieram z ciekawości. Oczywiście oglądałam dość filmów z prawdziwą zbrodnią i wiem, że w żadnym razie nie została skrzywdzona; gdyby tak było, zostałaby przewieziona do szpitala. Opisano by to w „Castle Cove Gazette” i w lokalnej telewizji. Ale to się nie wydarzyło. W rzeczywistości nic się nie stało. Brak nowych doniesień w gazecie na papierze. Wszystko o Alice Ogilvie po prostu... umilkło. Zabrano ją do domu i tam została, aż do dziś. Podejrzewam, że nie była sama, dokądkolwiek się udała.

Trochę mnie denerwuje spojrzenie Alice. Spuszczam wzrok, wyciągam niebieską teczkę z zadaniami domowymi i zwracam uwagę na jedną z książek. Podnoszę ją.

Śmierć na Nilu. Agatha Christie.

Książka w miękkiej oprawie jest mocno sfatygowana, niektóre zdania są podkreślone, na kilku stronach ma pozaginane rogi.

– Lubię tajemnice – mówi Alice. – Kiedy nigdy nie wiesz, co naprawdę się stało aż do samego końca. Musisz wszystko złożyć razem w miarę czytania. – Mruga na mnie i odwraca się.

– Dziwne – mówię – że lubisz czytać takie rzeczy i w jakiś sposób znalazłaś się w centrum jednej z największych tajemnic Castle Cove. Jeszcze nierozwiązanych.

Alice wzrusza jednym ramieniem. Wzdycham. Jestem zmęczona, a czeka nas praca.

– Od czego chcesz zacząć, Alice? Literatura czy historia?

– W każdym razie to nie jest tak, jak ludzie myślą – mówi ściszym głosem.

– Nie wiem, co myślą ludzie. – Może uciekłaś. Może zostałaś uprowadzona przez jakiegoś przerażającego przywódcę sekty i udało ci się wydostać, zanim cię przekabacili. Może miałaś przejściową amnezję. Kto wie? Według mnie zwałaś, aby dać komuś nauczkę.

Alice odwraca się i siada.

– A dlaczego – pyta chłodno – tak myślisz?

Odliczam na palcach.

– Po pierwsze, właśnie przesłaś paskudne rozstanie, tak? A twoja najlepsza przyjaciółka jest teraz z twoim byłym? To musi boleć. Po drugie, w wiadomościach podali, że w twoim domu rozbił się wazon. Ale nie znaleźli żadnych odcisków palców oprócz twoich, twoich rodziców i waszej gospodyni. Może sama go rozbiłaś? Żeby kogoś przegonić?

– Niani – wtrąca się Alice. – Gospodynią jest Bibi.

– Nieważne – mówię. – Chodzi mi o to, że nie umiem ocenić, czy zniknęłaś sama. Twój wybór. Jeśli tam, gdzie jesteś, panuje beznadzieja, odejść.

– Tak właśnie byś postąpiła? – Głos nadal ma chłodny, ale jej oczy są bardzo żywe, jakby była... zainteresowana.

– Każdy ma prawo iść swoją drogą – mówię łagodnie, wyciągając ksero o mitologii greckiej z lekcji literatury. – Jeśli już, Alice, może poleciałaś zbyt blisko słońca, jak Ikar.

Przechyla głowę.

– Jak *kto i co*?

– To twoje zadanie domowe. Tekst o Ikarze. On i jego tata zbudowali skrzydła, aby uciec, ale skrzydła były zrobione z piór i wosku, więc tata powiedział mu, żeby nie leciał zbyt blisko słońca, bo stopi i spali skrzydła. Ikar nie posłuchał, bo był uparty i dumny, i tak dokładnie się stało, utonął. Miałś swoją szansę, Alice, ale przepadła.

Alice się mi przygląda.

– Hm. No patrzcie państwo, mały detektyw. Ale chyba w ogóle nie wiesz zbyt wiele.

Rozplacze się? Bo na to się nie pisałam. Jak powiedziałam Westmacott, nie będę Zaklinaczką Alice.

Jednak nie płacze. Pociąga nosem, a potem pyta:

– Dobrze, więc co jeszcze muszę wiedzieć o skrzydlatym gościu?

Kiedy wychodzę z domu, Brenda wręcza mi plastikowy pojemnik z makaronem.

– Dla was. Zrobiło się już ciemno. Będziesz głodna, kiedy wrócisz do domu.

Nagle chce mi się płakać, gdy biorę plastikowy pojemnik od tej miłej pani, która najwyraźniej usłyszała, jak mi burczy w brzuchu w tym samotnym, za dużym domu.

Czasami zapominam, że ludzie potrafią być mili, że nie musisz ich prosić. Po prostu są.

– Dziękuję – mówię.

– Och – odpowiada Brenda. – Wymieńmy się numerami. W razie czego. Mam wszystkie numery znajomych Alice. Twój też bym chciała mieć.

Mrugam.

– Ja tylko jej pomagam w lekcjach. Nie zamierzamy trzymać się razem czy coś takiego.

Macha przede mną telefonem.

– Po prostu lubię mieć ją na oku. Chyba domyślasz się dlaczego.

Rzucam plecak na podłogę i rozpinam go, wsuwając pojemnik tupperware do środka. Wyciągam telefon z kieszeni i dyktuję Brendzie mój numer. Od razu pisze do mnie SMS.

Witaj, nowa koleżanko Alice!

Pojemnik dźga mnie w plecy, gdy jadę do domu. Ostry, morski wiatr owiewa moją twarz. Ręce mam zimne. Wszędzie kręcą się dzieciaki z wiaderkami i w maskach z poszewek na poduszki wymuszają słodycze. Pamiętam, że mama zawsze brała w pracy dwie godziny wolnego, żeby wtedy ze mną być. Brakuje mi tego, jak trzymała mnie za rękę. Kiedy byliśmy tylko my dwie.

Gdy skręcam kierownicą roweru, przez chwilę mocno boli mnie nadgarstek. Mimo że gips mam zdjęty i codziennie ćwiczę przegub, wciąż raz na jakiś czas boli i ciągle przypomina o Tej Rzeczy.

Żołądek zwija mi się w węzeł.

Cokolwiek zrobiła Alice, uskrzydłona czy nie, dokądkolwiek uciekła i z jakiegokolwiek powodu, moim zdaniem popłynęła jeden fatalny błąd.

Wróciła.

iPHONE R. KENNEDY

Wątek grupowy

15:22

Rebecca Kennedy: Nie zabijaj mnie. Mój tata wysłał mi przed sekundą SMS i powiedział, że DJ Porcini nie może zagrać na imprezie tej nocy...

Helen Park: O mój Boże. Co?

RK: Wiem; przepraszam. Chyba ściągnęli go na ostatnią minutę na jakiś koncert na Ibizie i... brr. Przepraszam.

Wyszło do dupy

RK: Ale wiecie, kto będzie?

RK: Jakieś domysty?

HP: Steve?

RK: Co?

HP: Steve przychodzi?

RK: ...hm, najwyraźniej. Prawda BD?

Brooke Donovan: Tak. Będziemy

RK: OK, powiem ci. COLE

HP: Kennedy! To niezręczne

RK: Co? To nie tak, że Donovan ma go na własność

Ashley Henderson: Wypisz się

BD: Henderson, idziesz?

AH: Nie, mam zamiar być w LA. Mój tata ma premierę

RK: OKKKKK, dzięki za info

BD: Kennedy

AH: W porządku, wiem, że jest po prostu zazdrosna

RK: Wcale

HP: Jest ktoś, kto może być DJ-em? Jest gdzieś Feral

Bunny? Zapytaj swojego tatę, Kennedy

RK: Mówi, że nie

RK: Brookie, przepraszam za Cole'a. Pomyślałam, że będzie

OK, skoro jesteś teraz ze Steve'em

BD: Nie obchodzi mnie to

RK: Dobrze. Nie możesz rościć pretensji do WSZYSTKICH

facetów w szkole, lol

RK: Musisz zostawić nam przynajmniej kilku z nich

HP: Może DJ UnderCeej? Twoja mama trochę go znała, kiedy

spotykał się z Trevorem Penningtonem, prawda, Brookie?

BD: Co to ma znaczyć, Kennedy?

RK: Lol, nic. Mówię tylko, nie musisz się denerwować, bo

masz teraz Steve'a. Nie każdy może należeć do ciebie,

Brookie, lol

BD: WIEM to, Kennedy

HP: Czy będziemy musieli po prostu słuchać muzyki

z czyjegoś głośnika? To katastrofa

RK: O mój Boże, PARK. Pogódź się z tym. Mój tata powiedział,

że upewni się, żeby Frank Sea był na balu regatowym, OK?

AH: Frank Sea gra premierę!

HP: CO?!

RK: Przynajmniej twój szef kuchni zrobił te autorskie

koktajle, tak?

HP: Chyba

RK: Po prostu tyknij kilka, a nawet nie będziesz w stanie

zauważyć różnicy

HP: Uh, dobra

ROZDZIAŁ TRZECI

ALICE

31 PAŹDZIERNIKA

20:50

– Bardzo jej pani nienawidzi.

– A nie powinnam? Wyrządziła mi
najgorszą krzywdę, jaką można sobie
wyobrazić.

AGATHA CHRISTIE, *ZWIERCIADŁO PĘKA*

W ODLAMKÓW STOS, TŁUM. ELŻBIETA GEFFERT

Kiedy Iris pojawiła się w moim pokoju, natychmiast ją rozpoznałam i było mi przykro, przyznając, że nigdy nie poznałam jej imienia. Gdybym uczyła się na pamięć imion wszystkich ludzi w szkole, nie miałabym czasu na robienie czegokolwiek innego, ale... chyba mogłam się trochę bardziej postarać.

Nie była tak zła, jak się spodziewałam. Włosy w sumie miała fajne – na jej głowie panował taki bałagan, którego ludzie nie mogli sobie zrobić, ale jej się to udawało. I co dziwne, jej ubranie wcale nie wyszło z mody – wszystkie elementy były odpowiednie – koszula flanelowa, conversy, ale jakby brakowało tej dodatkowej rzeczy, aby to wszystko połączyć. Może mogłabym jej pomóc.

Doceniam, że nie chwaliła się swoją inteligencją prosto w twarz, w przeciwieństwie do wielu innych bystrych uczniów w Castle Cove. Wiem, że nie jestem głupia, tylko szkoła nigdy mnie zbyt nie interesowała.

Teraz, kiedy poszła, w moim pokoju zrobiło się cicho. Zbyt cicho. Myślę tylko o tym, że jest Halloween i wszyscy moi starzy przyjaciele są na dorocznej imprezie na Zamku Levy, kiedy ja siedzę tutaj sama.

Jestem pewna, że Brooke tam jest, odpicowana, i wędruje po korytarzach Zamku ze Steve'em, przypominając mu, że posiadłość kiedyś należała do jej rodziny i że mieszkała tam jej babcia. Pochylają się ku sobie, śmieją się, trzymając się za ręce, jakby nie mieli żadnych trosk. Jakbym jedyną przyczyną ich znajomości nie była ja. Jakbym nawet nie istniała.

Ta scena rozgrywa się w mojej głowie na okrągło. Łapię iPada i włączam coś bezmyślnego na Netflixie, ale nawet to nie pomaga mi wyłączyć mózgu. Mogę myśleć tylko o tym balu, o Stevie i Brooke, o tym, co się wydarzyło tego lata i jakie to wszystko jest niesprawiedliwe...

Nie mogę już tego dłużej znieść. Wszyscy tam są, bawią się, a ja siedzę tu sama. Zasługuję na to, by tam być – tak samo jak każdy z nich. To Brooke ukradła mojego chłopaka, a w jakiś sposób ja okazałam się tą złą?

Wyskakuję z łóżka, otwieram szafę i wyciągam rzeczy. Ubrana wykradam się na dół. Brenda jest w swoim pokoju, więc udaje mi się wydostać na zewnątrz, wsiąść do samochodu – kolejny prezent od moich rodziców

podcykowany poczuciem winy – i nie odpowiadać na żadne pytania. W oddali fale uderzają o klify pod naszym domem, jesienny wiatr kołysze gniewnie powierzchnię oceanu. Powiedziałabym, że dzisiaj coś przerażającego wisi w powietrzu, ale nie jestem typem osoby, która wierzy w takie rzeczy.

Podkręcam muzykę do oporu, zagłuszając wszystkie galopujące myśli, i ruszam podjazdem na szosę.

Dziś panuje ruch. Droga prowadzi wzdłuż klifów, między oceanem a wzgórzami, a po zachodniej stronie autostrady stoi tylko kilka domów. Centrum Castle Cove znajduje się po wschodniej stronie, osadzone między wzgórzami.

Mijam podjazd do domu Park, który znajduje się po stronie klifu, tak jak mój, ale jest otoczony wysokim płotem. Jej tata jest międzynarodowym biznesmenem, cokolwiek to znaczy, i ma paranoję na punkcie wszystkiego. Kennedy i Donovan mieszkają kilka minut stąd, w przeciwnym kierunku niż ten, w którym zmierzam; ich domy stoją w dzielnicach na wzgórzach po wschodniej stronie szosy. Gdybym jechała dalej, trafiłabym do centrum miasta, gdzie znajduje się liceum i wszystkie restauracje prowadzone przez przegranych z *Top Chef*. Zwycięzcy otwierają swoje lokale na wybrzeżu, oczywiście w Los Angeles.

Ale zanim dojadę do centrum, docieram do celu – Zamek. Znajduje się po zachodniej stronie drogi, na dziesięciu akrach, na największej działce koło klifu. Zbudował go pradziadek Brooke około osiemdziesięciu lat temu jako rezydencję dla ich rodziny.

Wznosi się nad oceanem, z werandą, na której znajduje się gigantyczny odkryty basen ze wspaniałym widokiem na Pacyfik. Publiczności wolno wchodzić tylko do niektórych pomieszczeń Zamku, ale z powodu różnych imprez na przestrzeni lat widziałam cały – i jest niesamowity: ma wysokie okna z witrażami, zdobiony kryty basen z syrenami plującymi wodą i mnóstwo sypialni.

W dawnych czasach pradziadek Brooke utrzymywał tam dwór, urządził wyszukane weekendowe imprezy i zapraszał osobistości z branży rozrywkowej z LA. Mnóstwo gwiazd filmowych spędzało tam kiedyś czas i przynajmniej jedna z nich zginęła w tajemniczych okolicznościach.

Zamek stoi tu od czasów, gdy Castle Cove nie było jeszcze miastem, a cała ziemia po klifowej stronie drogi przynależała do przodka Brooke – według tego, co słyszałam od Kennedy, w pewnym momencie powierzchnia wynosiła jakieś sto akrów. Zgodnie z legendą prababka Brooke utrzymywała kiedyś na tej posiadłości zoo, z lamami, tygrysami i innymi zwierzętami.

Na przestrzeni lat deweloperzy wykupili większość gruntów i wybudowali ogromne domy, takie jak mój i Park. Myślę, że dzięki temu Castle Cove zyskało fundusze i stało się bardziej miastem, a nie tylko miejscowością turystyczną. Ostatnio zajęto się modernizacją Yacht Clubu. Tata Kennedy ma z tym coś wspólnego. Myślę, że tylko ja coś o tym wiem, bo kilka miesięcy temu spędziłam cały tydzień, słuchając jej narzekań na to, że jej ojciec odwołał letnie wakacje w Barcelonie, ponieważ musiał zostać w mieście, aby pomóc w zawarciu umowy.

Zjeżdżam z szosy na parking przy Zamku i zatrzymuję się obok samochodu Park, zielonego porsche cayenne, które rodzice kupili jej bez konkretnego powodu poza tym, że ona istnieje i ją kochają.

Gdy wysiadam z samochodu, słyszę ich: głośne głosy w oddali, wrzaskliwy śmiech. Roześmianą Brooke. Przedziera się przez moją skórę w głąb serca i przez chwilę naprawdę się zastanawiam, czy wrócić do samochodu i odjechać. Może tak jak trzy miesiące temu.

Tamtej nocy, zeszłego lata, zaraz po powrocie z Egiptu, Brooke podeszła i powiedziała mi o sobie i Stevie... Wtedy moje serce przestało bić. Jakby w moim mózgu doszło do zwarcia. Mogłam tylko myśleć o Agacie Christie, o tym, co zrobiła, kiedy zdradził ją mąż. Jak od razu zniknęła na jedenaście dni i połowa ludności Anglii była przekonana, że on ją zamordował. Albo jaki z niego gnojek. To nie tak, że chciałam, aby Steve'a aresztowali czy coś w tym rodzaju, ale jednocześnie nie przeszkadzała mi myśl o ludziach, którzy mnie szukają. Zastanawiają się, gdzie jestem. Myślą o mnie.

Wsiadłam więc do samochodu i ruszyłam. Zostawiłam telefon w domu razem z tym wazonem, który przypadkowo przewróciłam w holu, wychodząc... Przez to wszyscy myśleli, że zostałam porwana, Steve musiał iść na posterunek na przesłuchanie, a miasto zorganizowało ten cały zespół poszukiwawczy, dla mnie...

W każdym razie, kiedy wróciłam po pięciu dniach, wszyscy odchodzili od zmysłów. Wściekli tak bardzo, że moi

rodzice musieli negocjować z miastem, i wszyscy zgodzili się, że areszt domowy będzie właściwą karą za to, co zrobiłam.

Kolejny wybuch śmiechu niesie się w nocnym powietrzu. Zaczęliśmy urządzać bale na Zamku przed trzema laty, kiedy byliśmy w pierwszej klasie, dzięki kontaktom Brooke. W pierwszym roku byli to głównie ludzie z naszej szkoły, ale wieści się rozeszły i teraz przyjeżdża na imprezę także młodzież z sąsiednich miasteczek. Tata Kennedy, który jest agentem muzycznym w Los Angeles, nakłania jednego ze swoich klientów, żeby zagrał. Wszyscy ściągają najbardziej wyszukane stroje. Dzieje się.

Gdy skręcam za róg, podchodząc do frontu Zamku, gdzie zawsze się spotykamy, słyszę muzykę, ale nie widzę DJ-a. To znaczy, że tata Kennedy nie przywiózł któregoś ze swoich klientów. Park musiała dostać szalu.

Musi tu być co najmniej dwieście osób, które rozeszły się wszędzie, śmiejąc się, rozmawiając, krzycząc. Wszyscy dobrze się bawią beze mnie.

Po drugiej stronie trawnika, na szerokim, kamiennym tarasie za tylnym wejściem do Zamku, ustawiono bar, obsługiwany przez barmana w stroju pingwina. Dostrzegam Cole'a Fieldinga kręcącego się przed nim, rozmawia z Kennedy, która wciąż jest przebrana za zakrwawioną cheerleaderkę. Blond włosy ma związane na głowie w niechlujny węzeł, co z pewnością zajęło jej ponad godzinę, a jedną wypielęgowaną dłoń trzyma na ramieniu Cole'a.

Nawet Cole tu jest? To musiała być sprawka Kennedy. Chciała z nim być od lat. Ciekawe, czy Brooke to odpowiada.

**Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie
rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej
przez Wydawnictwo Zielona Sowa.
Zabronione są jakiegolwiek zmiany w zawartości publikacji
bez pisemnej zgody Wydawnictwa Zielona Sowa.**

Serdecznie dziękujemy za pobranie fragmentu książki!
Mamy nadzieję, iż przypadł Państwu do gustu!

Już dziś zapraszamy do zakupu książki w naszym sklepie
www.zielonasowa.pl